

Niekraj

*Ona to dostrzeże, lecz prędzej niż pojmie,
że można znaczyć dla kogoś początek i koniec, poczuje nienawiść*
Jacek Podsiadło *Nauka o człowieku*

imię boga pisane najmniejszą literą barwy ognia
palcem na zakurzonej ławce nim nadejdą starcy
niosący feretrony i ave sypane wzdłuż nawy
przez chór leciwych głosów które drżą tak mocno
jakby się miały rozpaść pod naciskiem ciszy
a w tle pobrzmiwa rwany w strzępy motyw
to nie jest kraj to nie kraj nie ukochany kraj

schroniliśmy się tutaj tylko przed upałem
nie dla modlitw zwiedzając podrzędne toledo
prowincjonalny dróżdz wielki przy trasie do bździna
bo kto normalny zwiedza jeszcze świeży kościół
postawiony bez sensu pośród blokowiska
o dzwonach co samym dźwiękiem tłuką szyby w oknach
ze zbyt śliską posadzką pełną jasnych żyłek

to z niej właśnie wypływa chłód odklejając z pleców
mnie t-shirt z harlemem a tobie bluzeczkę z pejzażem
manhattanu taki drobny szczegół co jasno wskazuje
gestem pełnym ironii że się starzejemy w złych miejscach
wrogich krainach pełnych nonsensu zamiast jakiejś nadziei
i przyjdzie nam czekać na dotknięcie *lewą ręką ciemności*
bo prawa niewładna zwisa wzdłuż lepszego boku

przed kościołem rzucę starcowi w kapelusz dwa złote
byle już nie pluł w organki by nie kąsał ciszy
wystarczy nagły upał w kraju bez miłości

Mówcie: Amen

i niech się stanie mięso, skoro nasz bóg lubi
patrzeć jak cudze matki wypłakują oczy,
a kiedy ukrzyżują w świetle reflektorów
resztki ciał pozbieranych z kapuścianych liści,
ktoś nam znowu opowie o sensie cierpienia
lub krwawym obmywaniu z grzechów pierworodnych.

a kiedyś wystarczyło zwykłe pomazanie
krwią drzwi niechcianych dzieci, teraz każda plaga
musi mieć jak najlepszy *target* pod reklamy,
zamiast minuty ciszy zabełkocze ekspert,
a po nim dyplomata i po paru chwilach
jest nam łzej, bo sumienia lubią gładkie słowa,

choć chce się rzucić w przestrzeń pospolite *kurwa*,
zamiast dobrej nowiny, bo pęka nam szkliwo
od zaciskania zębów w gorzkiej bezradności
na widok smugi gazów ciekących z dysz rakiet
przebijających niebo, spod którego spada
mięso upakowane w cieką malezyjską puszkę
na kapuściane głowy. niech im ziemia będzie
ciut łzejsza od powietrza, a drink i modlitwa
jest nadal *all inclusive* – nawet kadisz jatom.

Ad rem/ad personam

Brodziem
nie poszliśmy do łóżka, by się rozpoznawać,
czy przedstawiać imieniem, nazwiskiem, peselem.
leżymy tu celowo, pozbawieni złudzeń,
nadzy do bólu duszy, grafomańskiej schedy
po poprzednich epokach, więc łóżko nas wiąże
- jedyny słuszny węzeł w czasach postmoderny,
popkultury i reszty popaprzanych rzeczy.

rzec to wygodne słowo, kiedy wcale nie chcesz
wchodzić w zbędne szczegóły, które szybko mogą
wprowadzić groźny ferment między nogi łóżka,
a to ostatnia przestrzeń, nasze termopile,
gdzie powinno się kończyć, a nie rozpoczynać
rozpoznawanie głosów i ciał porzuconych
po ostatnich wieczarach zakrapianych winem.

kocham klóci się z *rzeczą*, bo tu każdy szczegół
ma wyznaczone miejsce pomiędzy nogami
łóżka i głównych osób naszego dramatu
w przewrotnie niewulgarny i niewinny sposób,
wiążąc tak po gordyjsku śmieszoną *nagość duszy*
z całkiem konkretnym głodem. wtedy się unosisz
na mnie, jak łódź na fali, szepcząc *jestem ostrzem*.

Część głowy

Brodskiemu

1.

nie, nie dostaję świra – po prostu zmęczyła mnie zima
i inne pory roku, i dni z pustym krzesłem
odstawionym przebiegle na środek pokoju,
jakby coś miało zwisnąć zamiast kłosa lampy,
świecąc zmarniałym blaskiem. telewizor śnieży
(chyba znów kablówka zmienia kolejność kanałów,
których i tak nie ma komu oglądać), więc zaczynam pisać
o sobie, a to niedobry omen – słowo się wywłaszcza
z pierwotnego rytmu, tracąc sens niby dotknięcie miejsca
po osobie, sucha notka w gazecie, że się kiedyś żyło
i wszystko zbyt boli, dzieje się za szybko.

2.

każdy umiera samotnie – ja wewnątrz mej głowy,
bo więcej nic nie ma, nie ma *gdzie* i *nigdzie*.
taki mały neverland. tylko starzy chłopcy, wciąż
bardziej zagubieni pośród części mowy,
kontynentów pełnych rozgadanych kobiet,
drobiazgów o nieodgadnionym przeznaczeniu,
zakładają opaski, kryjąc jedno oko przed zbyt
naświetleniem. potem podpalą okręty uwite z gazet,
bo ptak nie kała gniazda, ptak robi pod siebie, po sobie,
o sobie, sobiesław, zasada numer jeden: nigdy nie przerastać
swoich marzeń o głowę, nawet o pół głowy i za szybko.

3.

ptaki, jak czarne krople, spadają na pola. nie ma śniegu,
jest piasek – wypełnia ulice razem z solą. to smętna parodia
nadmorskiej plaży na pomarszczonej, wulkanicznej wyspie
z kanarkiem w nazwie archipelagu. taki archigułag
dla mojej pamięci, migawka najlepszych chwil życia,
gdy niespiesznie szliśmy po wylewce z bazaltu.
w dole był ocean i dopiero teraz słyszę wyraźnie,
że tał o granice, których przekroczenie
nie daje ukojenia, a jedynie zapisuje kolejne blizny.

nocą liczyliśmy ramiona bóstwa z indyjskiej mitologii,
obejmując się coraz mocniej i coraz boleśniej.

4.

*nie, nie dostaję świra – po prostu zima tym razem ominęła zimę.
nie dostała zielonej karty, wizy, a może biletu na tanie linie lotnicze.
mamy sól i piasek, a to kiepski zestaw przypraw do życia,
zupy (wszystko jest do zupy – hydrolizat białkowy). zawsze chciałem użyć
tego terminu w wierszu i wers się wydłużył, niby cień w popołudnie
nad brzegiem jeziora charzykowskiego, przez mały akt prywatny,
ale przecież jestem całkiem prywatny wewnątrz mojej głowy,
aż do kresu rozsądku i całkiem bez sensu, bez odrobiny zimna.
jedyne co śnieży, to ogłupiały ekran, a wtedy kablówka
kończy reset kanałów – przez biel się przebija
kadr z hiszpańskiego filmu: rosja i martwe konie wmarznięte w jezioro.*